



PRZEBIEG

Polska walcząca na Wschodzie

ROK II Nr 34 (38)

NIEDZIELA, 13 GRUDNIA 1942 R.

CENA 20 FLS.

O WOLĘ SIŁY

JĘZEŁI myśl naszą o wrześniu oczyszcimy ze wszystkich uprzedzeń, które każą nam ulegać pokusie uwznioślenia naszej ówczesnej postawy, pozostanie nam ponad wszelką wątpliwość jedna pozytywna prawda: chcieliśmy walczyć i — gdzie mogliśmy — walczyliśmy. Wypada nam już tylko dokonać oceny tego niezaprzeczonego faktu. Niemcy widzą w nim szaleństwo i okrucieństwo. Niektórzy publiczności polskiej rozumieją go jako dowód wysokiego poczucia honoru i zamiłowania wolności.

Nie wolno nam zapominać, że w decyzji podjęcia walki, która odcinała nas od całej reszty Europy, a może i świata — bo choć walki była i pozostała u nas bardziej powszechna, niż nie tylko we Francji, Anglii i Ameryce, ale nawet w Niemczech — nie wolno nam zapominać, że w tej decyzji była nietykalna wola oporu, ale przede wszystkim była pasja do zmagania. Gdybyśmy byli ożywieni duchem oporu tylko, gdyby nad wszystkimi potrzebami naszego serca górowała potrzeba bezpieczeństwa, gdybyśmy byli z natury ostrożni, lekliwi, dbali o swój dobrobyt i wygodę — cała nasza polityka na przestrzeni międzywojennego dwudziestolecia wyglądałaby inaczej. Kochamy Polskę „sielską i anielską”, ale tylko jako tło Polski rycerskiej. Tak się nam te wyobrażenia wiązały zawsze, tak wiążą się i dziś.

Jeżeli w ciągu tych dwudziestu lat nie udało nam się w pełni tej Polski rycerskiej odbudować, jeżeli nie udało się nam stworzyć warunków, które pozwoliłyby zabłysnąć w całej świetności naszym najsilniejszym cnotom, jeżeli zamotaliśmy się wśród tysięcznych sprzeczności i wkiśliliśmy się coraz głębiej w gąszcz „dysproporcji” — była w tym nie tylko nasza wina: jesteśmy częścią Europy i nie co europejskie nie jest nam obce. Europejskie choroby defetyzmu, niezdecydowania, dojrzątkowania, lęk przed śmiałyymi rozstrzygnięciami — musiały toczyć i nas. Choroby te były coprawda dla nas postokroć groźniejsze niż dla innych — tamci ryzykowali poziom życia, my — życie samo.

Jeżeli ta wojna nauczy nas, że przede wszystkim nie wolno nam pod żadnym pozorem osłabiać się, że musimy się wzmacniać wszelkimi sposobami, bo istnieć możemy tylko rosnąc, a rosnąć można tylko jako siła realna — będziemy mogli te wojne błogosławić po wiek wieków i wszystkie ofiary w swoim sumieniu usprawiedliwić. Lecz nie staniemy się realną siłą polityczną, jeżeli nie zrozumimy, że siła, to nie tylko pracowitość, oszczędność i prawosć szerokiego rzesz narodu, to nie tylko potężny przemysł i wielka ilość dobrze uzbrojonych żołnierzy, to nie tylko uporządkowane finanse i uregulowa-

ne stosunki sąsiedzkie, to wreszcie nie tylko niezawodny system przymierzy — siła, to przede wszystkim zdecydowana wola polityczna. Można nie mieć nic prócz przyszłości i liczyć się, można mieć wszystko prócz przyszłości i być zerem.

DOPÓKI PRAWA swoje opierać będziemy na abstrakcyjnych zasadach moralnych lub moralno-politycznych, a nie na swojej woli politycznej, dopóki będziemy mówili, że to czy owo należy się nam, bo należy się każdemu — nie wzbudziemy niezyciowego zainteresowania, a cóż dopiero zaufania. Musimy zacząć mówić, że pewne rzeczy należą się nam, bo taka jest nasza wola, bo zdecydowani jesteśmy o te rzeczy walczyć. Musi się stać rzeczą jasną, że jako naród nie jesteśmy w defensywie, tylko w ofensywie. Musimy znaleźć w sferze myśli politycznej odpowiednik naszej ofensywy na odcinku biologicznym: naszej nieprawdopodobnej rozroczności. Te dzieci nie przychodzą na świat, żeby się dzielić tym samym ciągle bochenkiem chleba.

Trzeba to raz narezcie zrozumieć, że powoływanie się na swoje prawa, to akt defensywny. Kładąc w dodatku nacisk na ich charakter moralny, tylko tym bardziej podkreślamy swą obawę, że mógłby nam ich ktoś odmówić. A taka obawa jest przynajmniej się do niewiary we własne prawa. Pierwszym naszym zadaniem nie jest więc znaleźć możliwych protektorów i zapewnić sobie w ten czy inny sposób ich życzliwość, naczelnym naszym zadaniem jest wzmocnienie w sobie samych wiary w swoje prawa, to jest wytworzenie potężnego prądu określonej, niewątpliwej i dobrze ufundowanej polskiej woli politycznej.

Przestańmy powoływać się na to, że „także chcemy żyć”, bo to jest psie skomlenie. Nikt tego nam w oczy nie powie, ale każdemu, kto słucha takiego jęgotu, cisną się na usta słowa: „A poco”? I na to pytanie — niestety — w dzisiejszej myśli politycznej brak odpowiedzi. My chcemy żyć „jak inni, jak wszyscy”. To jest nietykalne bezideowość i beznijność, to jest bezwstyd. Bo bezwstydem i dorobkiem czystym ducha jest pchać się na forum dziejowe bez narodowej indywidualności, a to znaczy bez jej poczucia i bez jej świadomości. Kto chce zniknąć i zataić się w uniformie jakiegoś istniejącego stylu życia — jednego z wielu reklamujących się dziś z takim hałasem izmów — kto nie czuje i nie rozumie, że w jego piersi tkwi odrębność, która nie jest przypadkiem, ale losem, kto — słowem — jak liczman bez wartości porzuca w kął wysiękły myślowy wszystkich wielkich, którzy przez stulecia dopracowywali się narodowej formy duchowej — ten nie może liczyć na to, że w chaosie

współczesnego przełomu dziejowego będzie mógł kłaść fundamenty nowej państwowości.

Bo w polityce Darwin nigdy nie miał racji: człowiek myślący politycznie usmiechnie się na twierdzenie, że „każdy gatunek dąży do zachowania swego istnienia”. W polityce to zdanie jest nieomyłką, lecz szczerze ignorancją. Kto chce „zachować swe istnienie” — skazuje się na polityczną śmierć. Z taką „wolą polityczną” można być wygodnym narzędziem w rękach cudzej, potęg zniejszej woli politycznej, ale nigdy nie można być podmiotem historii.

Tkwią w nas nałogi myślowe, które każą nam m. i. błędnie rozumieć naszą własną postawę z przed września i zniekształcać uczucia, jakie nami wówczas rządziły. Nie jesteśmy wcale barankami i dla tego nie nadajemy się na niewolników. My tak — mamy wolę polityczną, a nie tylko apetyty ekonomiczne.

Czy godzi się np. podkreślać, że przymierze z Anglią zawieraliśmy nie jako zagrożone państwo, które szuka gwarancji wielkiego mocarstwa, ale jako równy z równym — bo pakt ten polegał na wzajemności: Anglia gwarantowała w nim nasze bezpieczeństwo, a my ze swej strony gwarantowaliśmy bezpieczeństwo Anglii, czy godzi się, powiadam, przybierać tę dumną postawę, a równocześnie bawić się w rozważania historyczne uypuklające w dziejach naszych wszystko to, co rzekomo świadczy o naszej tolerancji, łagodności i o braku silniejszych namiętności w naszym charakterze narodowym?

Czy miejsce w dzisiejszym układzie stosunków politycznych naprawdę musimy okupować wykosławianiem podstawowych prawd historycznych? Czyż zawsze tylko broniliśmy się, czyż zawsze tylko protestowaliśmy, czyż zawsze tylko rzucaliśmy silniejszej woli swoje uparte, „Nie!”, — słowem, czy nigdy nie czuliśmy w sobie woli dość potężnej, by narzucić ją innym?

BO TO JEST główna pomyłka historyczna, jaką dziś popełniamy codziennie: pragniemy — w jakimś dziwnym zamroczeniu umysłu, w jakimś szczególnym paraliżu woli — zerwać z tablic dziejów prawdę, która na nich płonie złotymi zgłoskami: „Prawo do życia mają tylko silni”. Dla czego nie chcemy pamiętać, że na prawdę wielkimi datami naszej historii były daty naszej potęgi, a historii naszego cierpienia, że nazwiskami, które powinniśmy wymieniać ze czcią, są nazwiska Bolesława Chrobrego (którego pobożni kronikarze niemieccy tamtych czasów malowali kolorami, jakimi my dziś malujemy Hitlera!), Stefana Batoręgo, Józefa Piłsudskiego, a nie mędrków i moralistów, którzy wielkość Polski

widzieć potrafili tylko w męczeństwie, a spełnienie jej chwwały w „Przemienieniu Rzeczywistości”. Polska będzie wielka na tym świecie, takim, jakim jest, albo nie będzie wielka nigdy.

Dopiero gdy tej prawdzie spojrzymy w oczy — zrozumiemy września. Pojmimy wówczas, że ci, którzy się we wrześniu załamali, myśl swoją budowali na błędzie o moralnym charakterze świata: ich poczucie wyższości wobec Niemców było pyclą świętoszków i faryzeuszów. My jesteśmy lepsi od Niemców — tak odczuwali — bo jesteśmy łagodniejsi, bo nie mamy silnych namiętności, bo sielanka jest nam miłsza niż dramat. Czuli się silni gorączką słabości.

Tym — września zdarł zasłonę z oczu: naga rzeczywistość stanęła przed nimi w całej swojej ohydzie. Ogarnęło ich przerażenie, a z przerażeniem niewiara w siebie samych, z niewiarą wstręt do siebie samych. Opadły z nich nagle wszystkie fatalistyczne dostojenstwa i godności. Nędzą ludzka — tak ludzka, że aż zwierzęca — wyszła na wierzch.

NIE załamali się ci, dla których września nie był końcem, tylko początkiem: próbą ognia, z której ma wyjść naród odrodzony, naród z wola polityczną, naród wielki. Bo oni wielkości nie widzieli w cierpieniu, tylko w potęgę politycznej. Bo oni przegrali cały fałsz tkwiący w próbach moralizowania polityki, tego moralizowania, które zawsze jest tylko próbą przywrócenia godności własnej tym, co osłabił, tym, co naturalną godność utracił. Bo to nie prawda, że wszyscy mają prawo do szacunku: szacunek jest — z politycznego punktu widzenia — koncesją silnych. Piłsudski zaczął tworzyć wojsko ze słowami: „Ja w wychodku żyć nie mogę!” i zaczął tworzyć wojsko, a nie ligę protestowania przeciwko uciskowi. Taką samą decyzją był nasz zapal wojenny w roku 1939. Podjęliśmy rękawicę niemiecką nie z poczucia krzywdy, tylko z poczucia siły.

Zarzut, który można by mi w tym miejscu postawić, pragnę odeprzeć natychmiast, by nie wywoływać nieporozumień. Jakto — może ktoś zapytać — czyż nie walczyliśmy z Niemcami dlatego, że są zaborcze i okrutne? Czyż powinniśmy się byli w r. 1939 poddać Hitlerowi? Bo skoro „prawo do życia mają tylko silni”, a Niemcy były silne — jak się okazało, wielokrotnie silniejsze od nas — to czyż nasze „veto” nie było poprostu szaleństwem, a według wprowadzanej przez pana zasady „prawnej” nawet „bezprawne”?

Odpowiedź na to jest prosta: walczylibyśmy z Niemcami nawet wtedy, gdyby nie były zaborcze i okrutne, gdyby np. zaprosiły nas do „poko-

(Dalszy ciąg na str. 2-jej)

O WOLĘ SIŁY

(Dokończenie ze str. 1-ej)

jowej współpracy ekonomicznej" w ramach jakiegoś planu paneuropejskiej organizacji. I nieufność nasza wobec takiego zaproszenia nie byłaby tylko — na tysiącletnim doświadczeniu sąsiedzkim opartą — obawą, że ta „pokojowa współpraca” szybko przestoczyłaby się w stosunek lenny — nie, odmowa nasza była zmanifestowaniem naszej woli samodzielnego istnienia politycznego, naszej niewiary w możliwość zachowania prawdziwej wolności przy jakiegokolwiek rezygnacji z suwerenności państwowej. Bo w naszym najgłębszym poczuciu — wolność, to nie tylko swoboda decydowania o sobie, ale to także otwarta droga do decydowania o innych. Nasze najgłębsze instynkty polityczne są zdrowe. Rozumiemy dobrze, że nie można decydować o innych, gdy się nie umie decydować o sobie, że na to, by decydować o innych, trzeba także być czymś więcej niż inni. My we wrześniu poprostu nie chcieliśmy przyznać, że Niemcy są czymś więcej niż my. Niemcy usiłowali nam to udowodnić w jedyny sposób, w jaki się to od wieków robi: przez pokonanie nas na polu bitwy. I tu stała się rzecz, która nie zdarza się często: pokonany nie uznał się za pokonanego. Czy dla tego, że zwycięstwo odniesione było nie „fair”, przez zaskoczenie, metodami okrutnymi i niemoralnymi? Nie, zwycięstwo było rzeczywiste i zgodne z wszelkimi regułami strategii i taktyki. Ale zwycięstwo nie było pełne: pokonany wycofał się na bardziej dogodnej pozycji i na tych pozycjach walczył dalej. My przegraliśmy bitwę, a Hitler myślał, że wygrał z nami wojnę. To jest wielkie nasze szczęście, a szczęście to zawdzięczamy apetytom Hitlera. Gdybyśmy byli jedynym jego przeciwnikiem, gdyby Hitler był Fryderykiem II — Polska nie istniałaby dziś więcej. Ale zwycięstwo Hitlera nad nami byłoby pełne jeszcze w innym wypadku: gdybyśmy się byli uznali za pokonanych i zawarli z Hitlerem pokój. W tym szczęściu jest więc także nasza zasługa.

SIŁA POLITYCZNA NIEMIEC, tak mądrze ciułana przez królów pruskich i tak genialnie znagazynowana przez Bismarcka, — została przez Wilhelma II roztrwoniona, a to, co z niej zostało, Hitler obrócił w komediankę widowisko. Wszyscy czujemy to samo: to nie jest siła, to jest rozkład. Oczywiście, bez takiej Europy, jaką widzieliśmy po r. 1918, nigdy nie byłoby Hitlera. Hitler jest razem ze swoją awanturą zjawiskiem europejskim. Nie tu miejsce zastanawiać się nad tym. Niech nam na razie wystarczy, że „veto” nasze było odruchem prawdziwego zdrowia politycznego, był to w r. 1939 w całym świecie jedyny zdrowy gest polityczny. Zaden „nowy porządek” nie jest naprawdę porządkiem politycznym — tę prawdę czuliśmy wszyscy i tej prawdzie daliśmy wyraz podejmując racjonalną nam przez Hitlera rekawicę.

A TERAZ JESZCZE słów kilka o hitlerowskim okrucieństwie. Jest ono tylko zewnętrzną stroną tej głębszej rzeczywistości historycznej, o którą potraciliśmy mówiąc o roli Hitlera i roli Polski w najświeższej historii Europy. Okrucieństwo to nie jest nawet objawem siły: kogo można opanować, tego się nie niszczy. Oto



Z MAPĄ POLSKI PRZED OCZYMA

JEST RZECZĄ OCZYWISTĄ, że Anglicy nie byłiby tym czym są, gdyby od wieków nie zamieszkiwali na wyspie, lecz powiedzmy, w centralnym Tybecie. Ich polityka, ich charakter narodowy, sposób myślenia, zalety i wady — wszystko to jest związane z faktem, że Anglia jest wyspą.

Ow stonunek jaki zachodzi między położeniem geograficznym danego kraju a jego politycznymi możliwo-

ściami, wypływającą stąd konsekwencje gospodarcze i polityczne mieszczą się w określeniu „geopolityki”. Stowo to nabrało rozgłosu dzięki Haushoferowi i jego szkole, która — jak wiadomo — wypracowała hitlerowską teorię geopolityczną. My nie stworzyliśmy do tej pory żadnej polskiej koncepcji geopolitycznej, choć faktem jest, że cała nasza historia w jakże znacznym stopniu jest wynikiem specjalnie trudnego geopolitycznego położenia Polski. Żeby Czytelnikowi uzmysłowić całą wagę tego zagadnienia rozpatrzmy na wstępie najwidoczniejsze konsekwencje naszej geopolitycznej pozycji. Rzut oka na mapę Europy z przed 1939 roku każdemu jasno zilustruje fakt, że Polska była krajem strategicznie zagrożonym. Kraj przeważnie rolniczy o rozbudowującym się dopiero przemyśle, kraj niskiej zamieszalności, kraj dźwigający się po 150 latach niewoli — otoczony sąsiadami nie tającymi swych do Polski pretensji. Z sąsiadów tych np. Niemcy były krajem „wysoce przemysłowym” mającym tym samym wielkie możliwości zbrojeniowe.

COŻ POWODUJE taki stan strategicznego zagrożenia? W pierwszym rzędzie skutki i konsekwencje

gospodarcze*. Z jednej strony w państwie o takim układzie stosunków — jeżeli naród jest zdrowy i prężny — oznacza się dążność do szybkiego uprzemysłowienia — wiadomo bowiem, że jedynie własny przemysł stanowić może podstawę zbrojeń, a tylko własne siły zbrojne dają gwarancję bezpieczeństwa. Z drugiej jednak strony kraj taki jak Polska nie mógł w procesie swego uprzemysłowienia obejść się bez kapitału obcego. I tu napotykały na pierwszą trudność. Kapitał zagraniczny unika krajów strategicznie zagrożonych, a jeżeli pracuje w nich, to na warunkach wyjątkowych. Kredyt dla takich państw jak Polska z roku 1939 jest bardzo drogi, co z kolei odbija się na kształcie życia gospodarczego, na polityce bankowej, na możliwościach przemysłowych, na strukturze cen, krótko: na gospodarczych możliwościach. Polska miała jedną z najniższych w Europie cyfr zadłużenia zagranicznego obliczonego w stosunku do ilości mieszkańców — nie z tego

(Dalszy ciąg na str. 3-ej)

*) O gospodarczych skutkach zagrożenia strategicznego pisał obszernie Michał Ciołek (Nr 6 z 1942 r.) „Ku Wolnej Polsce”.

Jan Ulatowski

GRANICE

Granice dla Państwa są tym, czym dla domu ściany. Można nową ścianę dobudować, wtemczas dom się powiększa, staje się obszerniejszy i wygodniejszy, daje większej ilości ludzi możliwości pomieszenia. Ale wybijmy w murach domu otwór, lub coś gorsza zburzmy jedną ze ścian, a dom o ile całkowicie nie runie, to co najmniej utraci znaczną część swej użyteczności.

Nie więc zdziwnego, że granice, czyli nienaruszalność terytorialna jest tym spośród czynników składających się na pojęcie państwowości, którego państwa najbardziej zazdrośnie strzegą. Widzimy niejednokrotnie, że niektóre państwa cedują bez wyraźnego protestu wiele ze swych praw suwerennych, ale z granic swych niczego ustąpić nie chcą. Ołbrzymia większość wojen w historii świata miała za swą przyczynę spory o granice, a najgłówniejszymi postanowieniami traktatów pokojowych są zwykle kwestie nowej regulacji granic.

Bo należy wytyczyć granicę to sprawa bytu lub niebytu państwa. Granice bądź zapewniają państwu możliwości rozwoju, bądź skazują je na wegetację i zawierają w sobie zarodek przyszłej klęski.

Polska, ta z przed Września, miała granice ustalone traktatem wersalskim z czerwca 1919 r., jeżeli chodzi o zachód a częściowo i północ oraz traktatem ryskim z marca 1921 r., jeżeli chodzi o wschód.

Ani jedna ani druga granica nie była granicą historyczną w głębszym

tego słowa znaczeniu. Obydwie były kompromisami — na naszą niekorzyść.

Granica zachodnia, wersalska, pokrywała się wprawdzie, mniej więcej, z granicami jakie posiadała na tym terenie Rzeczpospolita przed pierwszym rozbiorem z tym, że nie dawała nam ani Gdańska, ani Warmii, ani Mazurów, które do 1772 r. do Polski należały — ale musimy pamiętać, że i granica z 1772 r. nie była granicą z okresu naszej aktywności na zachodzie, a ustaliła się i stężała w okresie naszych niepowodzeń i słabości. Poza nią pozostawał Śląsk, Pomorze Zachodnie i Prusy Książęce.

Granica z 1772 r. mogła nam w ostateczności wystarczać wtedy, gdy po jej zachodniej stronie rozpościerały się tereny setek skłóconych ze sobą państweczek niemieckich, nie wykazujących w odniesieniu do Polski wrogości ani zabobrości, ale nie mogła już spełniać swego zadania wówczas, gdy stanęło nad nią olbrzymie, zjednoczone państwo niemieckie, którego hasłem stał się „Drang nach Osten”.

Wobec odrodzenia się w nowych Niemczech tendencji dawnych cesarzy Ottonów, Henryków i Barbarosów, my również pojąć musimy za drogowskazem politycznym Chrobrego i Krzywoustego t. j. na Odrę i Bałtyk.

Granica wschodnia, którą ustalił traktat ryski, nie obejmowała nawet całości tych ziem, które na wschodzie pozostały przy nas po pierw-

szych dwu rozbiorach t. j. po 1772 i po 1793 r.

Poza nią znalazły się bowiem Litwa i większa część Łotwy, która jako księstwo Kurlandzkie również aż do trzeciego rozbioru podlegała zwierzchnictwu Polski.

Traktat ryski pozostawiał więc poza obrębem granic Rzeczypospolitej olbrzymie obszary, które do niej przez wieki należały, obszary przesiąknięte polską kulturą, które przez swój związek z Polską wchodziły w skład wspólnoty zachodniej cywilizacji.

Nie były to granice Jagiellonów i Batorych, ale zaledwie granice ostatnich lat istnienia szlacheckiej Rzeczypospolitej, granice z okresu agonii tego państwa. Kurczyły one niepomniernie strefę naszego obszaru życiowego, cofały zakres naszych wpływów, oddawały na przepade wielowiekowy dorobek polityczny i kulturalny.

Godząc się więc na te granice zdawaliśmy sobie sprawę z ogromu ustępstw, jakie czynimy na rzecz wschodniego sąsiada i rozumieliśmy zarazem, że jest to minimum tego, co na wschodzie posiadać musimy, że bez tego maleńkiego zaplecza na wschodzie w żaden sposób nie możemy utrzymać swej niezależności wobec zachodu.

Wiedział i rozumiał to również i Związek Sowiecki i jak stwierdza jeden z uczestników rokowań w Rydze, obecny prezes Rady Narodowej prof. Stanisław Grabski, sprawa gra-

nic nie stanowiła przedmiotu sporu w czasie rokowań. Dyskusja nad tym zagadnieniem nie trwała dłużej jak półtorej godziny, a delegaci sowieccy nie wnieśli w stosunku do postulatów polskich zasadniczych sprzeciwów.

Chociaż granice nasze ustalone w traktatach wersalskim i ryskim nie zabezpieczyły w pełni narodowych interesów państwowych i narodowych, nie zamierzaliśmy przecież domagać się ich zmiany rozumiejąc z jednej strony niebezpieczeństwo jakie mogły wywołać tego rodzaju dążenia dla pokoju świata i doceniając z drugiej strony wagę dobrowolnie przyjętych zobowiązań.

Tym bardziej jednak nie mogły wchodzić w rachubę dalsze ustępstwa z naszej strony, a gdy zostaliśmy w 1939 r. postawieni przed alternatywą: oddać część naszych terytoriów lub iść się, zdecydowaliśmy się bez wahania na ryzyko wojny z wszystkimi jej następstwami. I pomimo wszystko, co się potem stało, nie żałujemy naszej decyzji.

Bo choć oczywiście nie możemy przesądzać dziś tego, jakie będą koleje naszego państwa po wojnie, to jednak wiemy, że gdybyśmy byli ustąpili wówczas, we wrześniu, wezlibyśmy na równię pochyłą, wiedząc państwo do nieuchronnej i definitywnej zguby.

Chwyciliśmy za oręż w obronie naszych granic zachodnich, ale nie

(Ciąg dalszy na stronie 6-tej)

Z MAPĄ POLSKI PRZED OCZYMA

(Dokończenie ze str. 2).

powodu, że kapitałów nie potrzebowaliśmy, ale dlatego, że kapitał zagraniczny ze względu na nasze strategiczne zagrożenie niechętnie się u nas lokował. Kapitał zagraniczny woli — rzecz prosta — lokaty w krajach bezpieczniejszych.

Jakież wypływać z tego wnioski? Nie można rezygnować z pewnych istotnych wartości geopolitycznych, tak jak nie można budować domu na zbyt płytko założonych fundamentach. Nasze granice muszą być skrócone, Polska musi być zwiększona. Nie możemy w żadnym wypadku rezygnować z pewnych żądań terytorialnych, bo państwo 35-cio milionowe, jeżeli ma żyć, rozwijać się i potęgnić, musi geopolitycznie i strategicznie tak być usytuowane, żeby zadaniami tym mogło sprostać. Nie jest tu miejsce, ani nie jest to celem tego artykułu rozpatrywać dokładnie trudne zagadnienie terytorialne — wystarczy jeżeli Czytelnik zgodzi się z nami, że nasze granice z roku 1939 wymogom tym nie odpowiadały. Polska musi być większa i musi ze swej charakterystyki geopolitycznej usunąć, a co najmniej bardzo wydatnie umniejszyć ów moment strategicznego zagrożenia.

DOPÓKI RADYKAŁNA POPRAWA w tym właśnie względzie nie stanie się realnym faktem, położenie Polski i — podkreślam to z naciskiem: sprawy polskiej — pozostanie niezmiernie ciężkie. Jest rzeczą konieczną abyśmy wszyscy zdawali sobie z tego jasno sprawę. Nie popełniamy błędów z okresu przedwrześniowego, kiedy usypiano czujność społeczeństwa frazeologią o naszej potędze, przysto-

waniach, korzystnej koniunkturze międzynarodowej itd.

Geopolityczne położenie Polski wywarło decydujący wpływ na uformowanie się w ciągu wieków polskiego charakteru narodowego. Jesteśmy patriotami, szluka nasza wiązała się najściślej ze Sprawą narodową, jesteśmy ofiarni, w każdym pokoleniu wydawaliśmy armię dzielnych i bezpieczniejsze położenie kraje mogły się rozwijać i bogacić — my cały nasz wysiłek i dynamizm musieliśmy poświęcać walce o niepodległość, o państwowość, o bogactwo, o możliwości gospodarcze, ale prostopo do prawa do życia, o prawo mówienia po polsku, o prawo bycia sobą.

To, o co się walczy, staje się cenne. Stąd to namiętne przywiązanie nas wszystkich do ziemi polskiej. Zabobrocy wojny jak taranem niszczyły nasz kraj — wrogowie rabowali wszystko tak jak czynią to obecnie Niemcy.

Polacy, gdy wojna mija, zastają zazwyczaj tylko ziemię. I ta ziemia zastąpić nam musi owe piękne pałace i zamki, zabytki, zbiory sztuki i galerie — to wszystko, w czym inne i szczęśliwsze od nas narody chcą swą przeszłość i tradycję. U nas nieczaienna, tą do której się wraca po wojnach i żołnierskiej tułaczce — jest tylko ziemia.

OBCY TEGO NIE ROZUMIEJĄ. Mówią i piszą, że Polacy są szovinistami, że są zachłanni, że „dziela się Europą”. Może gdyby nasza Polska nie leżała na szlaku wszystkich wojen, gdyby sąsiadowały z nami inne nie zabobrocy narody — może

Król Jerzy VI, który w dniu 12 grudnia ukończył 47 lat obchodził dzień przed tym 6 rocznicę swego wstąpienia na Tron. Towarzystwo mu w tych dniach najszczęśliwie uczucia wszystkich walczących Polaków



bylibyśmy inni. My jednak leżemy między dwoma potężnymi rzekami, z których jedna to naród niemiecki. Ta rzeka wyojującej niemieczyny grozi nam od tysiąca lat zalewem, podmy wa fundamenty naszego bytu państwowego, jest stałym groźnym niebezpieczeństwem. Nie będzie inaczej, dopóki nie odwrócimy koryta tej rzeki, nie odepnijemy jej biegu od naszych granic.

Gdybyśmy nie byli dziś patriotami, gdybyśmy nie byli żołnierzami, gdybyśmy jak zawsze tak i dziś nie byli fanatykami polskości, dawno by nas w ogóle nie było. Owe rzeki zabobrocy ludów byłyby nas wchłonięły, jak zmiecieni zostali z powierzchni życia Obotrzycki, Łużczanie, Lutycy i jakże wiele innych ludów i szczepek słowiańskich.

Nie fałszywi prorocy, nie ambitni cesarze i „Führerzy”, nie egzaltowani pisarze — ale twarda konieczność życia, trudne, wiedznie zewsząd zagrożone położenie naszego kraju tak

a nie inaczej ukształtowało cechy naszego narodowego charakteru. Nie możemy przeto „przymierzać się” do innych, próbować naśladować, bo my z racji naszego geopolitycznego położenia musimy być takimi właśnie, albo wogóle nas nie będzie.

WOJNA TĄ MA ZDECYDOWAĆ na długie lata o losach całego świata. W tej wojnie decydują się również i nasze losy. Sytuacja sprawy polskiej jest trudna i ciężka. Tym nie mniej — jak starałem się to wykażać — musimy mieć program wielki i choćby sytuacja była jeszcze cięższa, z niego nie możemy rezygnować. Byliśmy słabi po „operacjach” kongresu wiedeńskiego w 1815 r., byliśmy jeszcze zbyt słabi po traktacie wersalskim w r. 1919 — po tej wojnie musimy wyjść z takimi aktywnymi i tak usytuowanymi geopolitycznie, aby raz wreszcie wyjść z tego historycznego impasu dwóch stuleci. St. strzel. Mr.



Ludność Algieru entuzjastycznie witała wkraczające wojska amerykańskie. (Zdjęcie nadesłane drogą radiową).

ARMIA AMERYKAŃSKA GEN. EISENHOWERA zaczęła dopiero lądowanie w porcie algerskim... O miasto toczyły się jeszcze walki... Opanowane były dopiero niektóre forty nadbrzeżne i radiostacja. I oto w parę godzin zaledwie po wylądowaniu pierwszych oddziałów amerykańskich na falach eteru popłynął z radiostacji algerskiej w świat szeroki głos generała Giraud. Stuchaczy francuskich, nie odchodzących od radioaparatu tego historycznego poranka, ogarnęło bezgraniczne zdumienie. Giraud?... Skąd Giraud? To chyba mistyfikacja... Skądże by Giraud wziął się w Afryce? A jednak to była prawda. Giraud-Afrykanin znajdował się rzeczywiście w owych przełomowych godzinach w Algierze. On sam a nie kto inny rzucił stamtąd wezwanie do mieszkańców francuskiej Afryki Północnej, aby stanęli ramię w ramię ze Sprzymierzonymi w ich walce przeciwko Niemcom. On mówił im o milionie jeńców francuskich, więzionych w Rzeszy. On zaklinał, aby pomóc Francję. Skąd wziął się owego poranka w Algierze, jak się tam dostał, nie wiadomo do dzisiaj. Fakt jednak, że był, że przemówił, że wstrząsnął sumieniem Francji, że w znacznej mierze przeważył swym głosem szalę wypadków.

Bo też trzeba sobie zdać sprawę, co dla Francuzów oznacza nazwisko „Giraud”. Jest to jedno z tych na-

zwisk francuskich, które działają jak błysk miecza, jak sygnał pobudki bojowej. Nazwisko, które otoczone jest we Francji aureolą bohaterstwa i legend.

Ową niezwykłą popularność zawdzięcza Giraud przede wszystkim swej niedawnej, tak śmiałej i ryzykownej, że aż napozór nieprawdopodobnej ucieczce z niewoli. Dostał się do niej w czerwcu 1940 r., gdy przybywszy do miasteczka, w którym objął dowództwo jednej z armii po zabitym generale Billotte, zastał je zajęte przez nieprzyjaciela. Przewieziono go do Niemiec i zażądano odeń, jak i od innych, oficerskiego słowa, że nie ucieknie. Giraud odmówił. Poddano go wtedy pod szczególnie ostry nadzór i umieszczono w twierdzy Koenigstein, skąd zdawałyby się, uciec niepodobna. A jednak Giraud uciekł. Wyznaczono 8.000 funtów nagrody za jego schwytanie. Radio niemieckie wzywało go wielokrotnie, aby stawiał się dobrowolnie i groziło, w przeciwnym razie, represjami w stosunku do ogółu francuskich oficerów — jeńców. Giraud przedostał się do Szwajcarii, stamtąd zaś do Francji południowej, gdzie osiadł na wsi, w pobliżu Lyonu. Niemcy zażądali od rządu Vichy wydania go, tym jednak razem Petain oparł się naciskowi niemieckiemu i Girauda nie wydał. Otoczono go jednak czujną i stałą „opieką”. Jak,

Spotkanie z gen. Giraud

ponimo niej, Giraudowi udało się znowu zbiec i znaleźć się w krytycznym momencie w Algierze, dowiemy się zapewne kiedyś. Miał on już zresztą nielada wprawę w tej dziedzinie. Po raz pierwszy uciekł z niewoli niemieckiej podczas wielkiej wojny Nr. I i przez neutralną wtedy Holandię dotarł do Anglii. Eskapada do Algieru była więc trzecią w jego życiu.

Aczkolwiek wojna obecna dała Giraudowi maksimum popularności, nie należy sądzić, że nazwisko jego nie było znane już przedtem. Od bardzo dawna było ono jednym z czołowych, reprezentacyjnych nazwisk armii francuskiej. Giraud okrył się chwałą już podczas pierwszej wojny światowej, zwłaszcza w bitwie pod Charleroi. Długie lata służył w Afryce, gdzie był nawet gubernatorem francuskiej Afryki Równikowej. Wśród francuskich wojsk afrykańskich cieszył się popularnością tak wielką, że porównywano go z wielkim Lyautey'em i obdarzono przydomkiem Giraud-Afrykanin. W r. 1940, po dymisji Gamelaina był obok generałów George'a i Hutzingera najpoważniejszym kandydatem na stanowisko generalissimusa.

Z GENERAŁEM GIRAUD spotkałem się w roku 1937 w Metz. Dowodził on wówczas korpusem i podlegała mu północna część linii Maginota. Robiłem właśnie reportaż o armii francuskiej i wracałem z linii Maginota, której parę pozycji po zwolono mi zwiedzić. Giraud przyjął mnie w pięknym starym pałacu renesansowym, jednej z ozdób wspomnianego placu Katedralnego. Zaznaczamy tu ubocznie, że jeśli ktokolwiek miałby jakieś wątpliwości co do czysto francuskiego charakteru prawdziwego, starego Metz i, jeśli dałby się zwieść niemieckiemu pokostowi nowych, obrzydliwych dzielnic tego miasta, zbudowanych przez Niemców po roku 1870, trzeba by koniecznie pokazać mu właśnie ten plac.

Rozmawialiśmy z Giraudem o linii Maginota i o zagadnieniach obrony Francji. Zapytałem go, czy uważa umocnienia tej linii za rzeczywiście wystarczające, aby powstrzymać ewentualną inwazję niemiecką. Oto, co mi odpowiedział: „Niema, proszę pana, umocnień niemożliwych do wzięcia. Żadne fortyfikacje, nawet najpotęższe nie zastąpią ducha inicjatywy i ofensywy. Bez nich nie wygra się

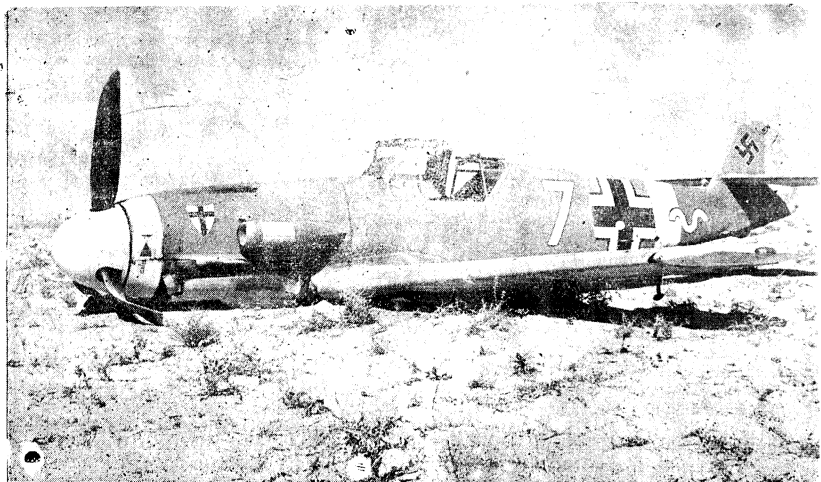
żadnej wojny”. General Giraud był zaniepokojony stanem zbrojeń Francji i Anglii. Mówił o tym dużo i z troską. „Niemcy przyciągają nas w każdej dziedzinie” — oświadczył.

Mówiliśmy wiele o Afryce. Giraud jest przecież jednym z najlepszych jej znawców, a i mnie interesowała ona szczególnie, zwłaszcza po moich niedawnych wyprawach dziennikarskich do francuskiej Afryki północnej, Libii, Abisynii, Sudanu i Egiptu. Giraud z naciskiem podkreślał ogromne znaczenie strategiczne Tunisu, Algierii i Maroka, akcentował konieczność dalszej rozbudowy i dobrojenia baz morskich w Bizercie, Algierze i Casablance. Wskazywał na pierwszorzędą rolę tych terytoriów w razie ewtl. konfliktu z Włochami. („Osł” była już wtedy właściwie taktem dokonany). Zwłaszcza interesowała go Bizerta: obecne wydarzenia dowiodły, że nie pomylił się.

GIRAUD JEST WIELKIM i szczerym przyjacielem Polski. Był kilkakrotnie w naszym kraju, znał dobrze armię polską. Cenił naszą armię bardzo wysoko, ale zdawał sobie sprawę z braków w jej uzbrojeniu. Mówił mi o tym z troską. Odpowiedzialność za ten stan rzeczy składał na Francję i Anglię, które, jak twierdził, nigdy nie potrafią znaleźć pieniędzy na to, co najważniejsze. Liczył jednak, że przy odpowiednim wydatnym spółkacji Sprzymierzonych potrafią obronić się przed napadnięciem.

Przy końcu rozmowy zapytałem się generała, czy nie uważa, że sama doktryna linii Maginota jest dla Francji zabójczą, gdyż zatrąwa ją duchem defensywnym i pozbawia tego właśnie, do czego on sam przywiązuje tak wielkie znaczenie: inicjatywy i pędu ofensywnego. „Niech pan sam wyciągnie wnioski z tego, co powiedziałem” — odparł generał Giraud.

Roman Fajans



Lotnictwo niemieckie poniosło ciężkie straty w Afryce północnej. Na zdjęciu, na lewo, widzimy zniszczony bombowiec niemiecki.

Na zdjęciu w środku widzimy głównodowodzącego lotnictwem sprzymierzonych marszałka Teddera (na lewo) w rozmowie z marszałkiem Conninghamem szefem R. A. F'u na Środkowym Wschodzie.



POBOJOWISKO POD EL ALAMEIN

(Korespondencja własna „Orła Białego”).

NA WĄSKIEJ DRODZE, wiodącej do Waterloo, przystajemy pełni zadumy: tędy, zmylwszy kierunek, przemaszerował korpus Grouchy i dzieje świata na stułecia poszły innym torem. Ani czerwone dachy domków farmerskich dookoła, ani nudne zielone pola zdają się nic o tym nie wiedzieć.

Może pokolenia turystów w tej samej zadumie będą przystawać w wąskiej „szyi od butelki” El-Alamein, gdzie w przesmyku 60-kilometrowym, między morzem a bagnistą nie do przebycia depresją rozegrała się w pierwszych dniach listopada bitwa, decydująca o pogromie Rommla i o „końcu początku”.

Zapewne i tu nie będzie mówić otaczająca pustynia o dramacie, który się rozegrał: będą o nim tylko przypominać cmentarze żołnierskie, jak pod Waterloo przypomina pomnik bitwy.

Ale teraz, kiedy jadę tą pustynią, każdy jej kawałek krzyczy minioną bitwą. Wąska asfaltowa szosa, którą pomykam na zachód, drży jak struna, którą jakaś ręka szarpie u nasady. Idzie po niej nieprzerwany tok wozów, cystern, dziwnych warsztatów reparacyjnych, lor usonaszczolgi, wozów-dźwigów, wozów-szulli usuwających piasek, wozów-walców, wozów—lor pod samoloty, przebijających dziesiątkami par nóg, jak czterdziestonóżka — plaga namiotów.

Mądra i przemysłna jest współczesna wojna.

Tam — u nasady tej szosy, pod Benghazi, rozkwita ten ruch wachlarzem, łuczy wystrzałami.

Tu — pani Wojna zagospodarowuje się obrządkami gospodarskim: wywozła rannych, uprzątnęła już sporo trupów i cała jest w trosce

o salvage, o pozбиране ogromnej ilości sprzętu i żelastwa.

Po obu bokach wstęgi asfaltowej, wśród kucek suchej roślinności, pokrywającej jak trąd pustynię, stoją beładnie pojedynczo lub grupami działa 88 mm, czołgi rozbite, zrzedka wraki samolotów i stopy, stopy naboi; począwszy od naboju najcięższych cekaemów przeciwpancernych, przez śmigłe dwudziestki, niezane na auto-małycazną taśmę, przez pociski 88 mm — każdy oddzielnie w wykwin-tym futerale — do wielkich 110 mm pocisków armatnich.

Patrząc na te stopy skrzynek, futerałów, pokrowców, pochwę i przypominam sobie z uśmiechem sprzedawców po sklepach w Bejrucie, Tel-Awivie i Kairze, którzy wwalają klientom towar nieopakowany, bo tak nakazują zarządzenia z powodu wojny.

UPRZEJMY BRYGADIER, u którego należy się zameldować, przyjmuje w swej rezydencji wyrytej w pagórku piasku.

Po przyjrzeniu się pagórek okazuje się świetnie zakamuflowanym wozem. Pod okapem okrywającej płachty kamuflażowej rezyduje ordynans z półtuzinem świecących butów i z rozwieszonym barwnym mundurem brygadierskim.

W wozie otrzymuję krótki wykład przed olbrzymią mapą pokrywającą całą ścianę: tu, ku morzu, pchnięto dywizję pancerną, której czołgi były ucharakteryzowane na ciężarówki. Z gazet wiadomo, że Rommel zbaga-telizował cały odcinek nadmorski i skoncentrował się dla, przyjęcia ataku w drugim końcu „szyjki od butelki” — przy bagnach. Gdy się zorientował — było za późno.

— Pan kapitan wszystko pokaże—teren, który jeszcze, dosłownie, krwawi.

POD KIEROWNICTWEM łaskawie przydzielonego kapitana wóz daje nurka w pustynię. Jedziemy czymś w rodzaju szerokiego piaszczystego szlaku, którym Napoleon szedł na Moskwę.

Szlak ten wybiły w pagórkach pustyni tysiące wozów, które przeszły tędy na zachód.

Wraki rozbitych czołgów poczyna się mnożyć. Niektóre stoją nowiutkie, trafione celnie jednym po-

ciskiem w oko czy serce. Inne — to kupa zadymionego żelaza: to te, w których własna amunicja wybuchła i spaliła czołg.

W pewnym miejscu stoi siedem małych tanków niemieckich, niemal w wyrównanym szeregu: jakaś straszliwa serja artyleryjska przejechała po nich.

Ze wszystkich oznak sądząc, pole decydującej bitwy tanków się zbliża.

Trudno jest zorientować się w tej bitwie. Na północny niedaleko błyszczący morze, ale poza tym aż do najdalejszego widnokręgu nie widać ani wzgórz, ani drzewka. Spoglądam raz po raz na busole, aby się zorientować. Witają nas przede wszystkim trzy rozbite Shermany — trzydziestotonne czołgi amerykańskie, będące cudem techniki: zarówno korpus jak obrotowa wieżyczka zrobione są z jednego kawałka stali obchodząc się bez szwajsowań i nitów.

Jeden jest spalony, drugi rozbity, ale trzeci wygląda świetnie. Oglądamy jego przód. Znajdujemy pięć trafień, które nie przeniknęły przez pancerz, aż wreszcie szósty pocisk trafił w okienko, wpadł do wnętrza i eksplodował. Zaglądam do czołgu i w puszcze spiętrzonych siodełek, na których obsługa siedziała, nie znajduję nic; zabitych już wyciągnięto i pochowano. Promyk słońca przenika najgłębiej w dal i wyjawia rój siedzących much; muchy siedzą na zakrzepłej krwi. W rogu wozu nadpalony list—airgraph. Adresu przeczytać nie mogę. Jakaś Lily pisze: Well, pal, I have kept up the good work of writing regularly to your little Mum (piszę regularnie do twojej mamusi...).

Sprawcy rozstrzelania Shermanów stoją o kilkadziesiąt kroków. To — działko p-pane, dalej kilka rozbitych czołgów niemieckich i wreszcie trzy niedaleko jedno od drugiego stojące działa 88 mm.

Walki jak w średniowieczu: łeb w łeb, pierś w pierś...

Owe niemieckie czołgi dostały silnie. Błacha w nich poszarpana pociskami, wstęgi pozrywane. Jeden czołg spalony.

Koło wozów — płytko usypany kopczyk grobu z pod którego wyciera kolano. Na kopczyku hełm

i krzyż z napisem: „Unknown German Soldier”.

Oglądam się dookoła: podnoszę grubę, na wpół spaloną tom. Tom nosi tytuł: „Lachendes Leben — ein Buch voll herzhaftes Humors”. „Życie w śmiechu — książka serdecznego humoru”.

Ciągnik holujący działa ustawione na podwoziu czołgowym (trunk Rommla i jeden z powodów jego letnich sukcesów) — jest straszliwie zniszczone. Już było w odwrocie, już odjeżdżało, kiedy straszliwa serja artyleryjska zmieniła ciągnik w kupę żelastwa.

I tak — jedno za drugim, jedno za drugim — przesuwa się przede mną straszliwe panoptikum zniszczenia. Gdzie kres, gdzie granica tego pola śmierci? Przy działach okopanych, stojących na krzyżowej lawecie — trup kanoniera. Działo grzmiało z najbliższego dystansu do czołgów „General Grand”, które pozostawiły dwa wraki o kilkadziesiąt metrów. Działo było okopane, nie miało ciągnika — należało strzelać do ostatniego. Kanonier leży w masce gazowej. „Ależ nie — powiada kapitan angielski — he is roasted (on jest upieczonym)”.

Zahuczał motor — ciężarówka przywoziła Murzynów-grabarzy. Murzyny mają gumowe rękawice, gumowe płaszczki i czarne gumowe maski. Są jak potwory z Tysiąca i Jednej Nocy rozkopujące groby.

I podczas kiedy potworne strasz-dła pełnią obowiązek nad potwornymi cuchnącymi resztkami wrzucają je owinięte w kocy w ciężarówkę wytapetowaną podobiznami girlsów — wstaje wiatr i pędzi po polu strzępki airgraphów, listów, bezfraszliwych pocztówek, fotografii gwiazd filmowych, programów różnych music-hallów, które ci rumiani, drgający śmiechem i wesolnością chłoccy wozili z sobą.

Szarzeje, gdy wydostajemy się z powrotem na asfaltową szosę, na której wita nas tablica: Gunner, what about your emplies? strzelcze, co słyhać z twemi łuskami?

To żelazne prawo życia, organizacji i walki przywołuje nas do porządku, jak przywoływało rozgrzanego walką czołgiste.

Po szosie, nieubłaganie jak dzieje, sunie sznur wozów — na zachód.

Nadejdzie za to wszystko sąd!...
Melchior Wankowicz



W skład 8-jej armii brytyjskiej wchodzi dywizje pancernie uzbrojone w ciężkie czołgi amerykańskie.

Na zdjęciu widzimy kolumnę czołgów w typu Scherman w natarciu na pozycje niemieckie.



Z wichrem w zawody

Warczą motory... Jak rące ruma-ki przed rozpoczęciem gonitwy, drżą wozy gotowe do startu. Start! Ruszyły... mkną jeden za drugim, mijają się wzajemnie, z wichrem w zawody snują wstęgę raidową poprzez całą Polskę.

Ileż uroku w tym raidzie dorocznym, ile porywu, czaru, szybkości, emocji! To szkoła! Szkoła kierowcy, próba jego nerwów i dyscypliny, planowej jazdy i ścisłego przestrzegania jego wykonania.

W zależności od regulaminu, w zależności od typu wozu i warunków drogowych, kierowca musi wóz przeprowadzić w określonym czasie bez żadnych defektów lub wypadków.

Kto miał dobrze przygotowany wóz, kto miał więcej woli i opanowania, ten raid wygrywał.

Nadeszła wojna. Tysiące wozów sunęły na wschód i dalej poza granicę Rzeczypospolitej. Wozy zginęły. Kierowcy przeszli inną szkołę woli i opanowania, wykazali hart, nie stracili wiary w zwycięstwo.

Tworzy się nowa armia zmotoryzowana.

Szkoli się tysiące kierowców, by przyjąć i poprowadzić cenny sprzęt motorowy.

Zaczyna się nowa era dla naszej armii. Nowy zaszczyt i obowiązek spada na polskiego kierowcę.

Poszanowanie sprzętu i porządek ruchu są nakazami chwili, którymi muszą przejąć się wszyscy, którzy dbają o dobro naszej armii, o jej chwałę, o zwycięstwo.

Rozpoczynamy wielkie zawody na drodze ku Polsce.

Musimy mieć wozy w należytym porządku, a nerwy mocne i zdyscyplinowane, by te tysiące samochodów nowych, bojowych, które poprowadzimy tym razem na zachód, ku Polsce, szły w rzyku wojskowym, we wzorowym porządku.

Jeżeli ścisłe przestrzeganie regulaminu raidu sportowego było warunkiem wygranej, to ścisłe przestrzeganie rozkazów dowództwa dotyczących porządku ruchu i ograniczenia szybkości są warunkiem zwycięstwa.

Szybkość indywidualnego wozu tak się różni od szybkości wozów idących grupowo, w kolumnach, jak szybkość konia wyścigowego od całego pułku kawalerii, jak biegacza sportowego od kompanii piechoty.

Szybkość kolumny samochodowej musi być dostosowana do różnych typów wozów, do zdolności najsłabszych kierowców, do rozmaitego stanu drogi, który powoduje zwalnianie i przyspieszanie ruchu, a więc rozciąganie się kolumny.

Wyównanie dystansów między wozami na dużej szybkości związane jest z dużymi trudnościami, niszczy sprzęt i opony, z względu na ostre hamowanie i ostry zryw wozu, przy tym powoduje zbyteczne kłęby kurzu i nadaje kolumnie niewesoły chaotyczny charakter.

Kolumna taka trudna jest do prowadzenia, utrudnia też ruch innych formacji na drodze.

Porządek w kolumnie, oparty na rozmyślnie ograniczonej szybkości zapewnia punktualność, a przez to umożliwia obliczenia w jakim czasie i na jaką odległość może być dostarczona amunicja, prowiant lub przetrzona kompania, dywizja lub armia.

Ambicją każdego kierowcy kolumny musi być świadomość, że przy-

czynia się on do wzorowego wyglądu swej kolumny w ruchu, tak jak ambicją poszczególnego strzelca jest, by jego kompania najpiękniej się przedstawiała, gdy prezentuje broń lub odbija miarowy krok na defiladzie.

Gdy kierowca jedzie gdziekolwiek indywidualnie na swym wozie, gdy na nim spoczywa cała odpowiedzialność za wóz i jego ładunek, lub pasażerów, tym bardziej powinien przejąć się tą odpowiedzialnością i uświadomić sobie, że Polski kierowca niesie na swych barkach, poprzez tysiące przebywanych mil, odpowiedzialność za dobre imię Polskiego żołnierza. Jego bowiem zachowanie się na szosie wszystkim rzuca się w oczy.

Lekceważyć tego nie wolno. Dla własnej, źle zrozumianej ambicji szybkiej jazdy, nie wolno też niszczyć sprzętu, opon, narażać życia ludzkiego — polskiego — na niebezpieczeństwo.

Nie jeden z nas zginie w bitwach zanim powrócimy do ojczyzny, wiele wozów, zdruzgotanych ogniem nieprzyjacielskim, legnie na zboczach dróg wiodących do kraju, ale ani jeden żołnierz polski nie powinien zginąć z rąk przestępczych nieostrożnego kierowcy. Żaden wóz nie powinien ulec zniszczeniu z powodu braku poszanowania dla sprzętu, tak długo oczekiwanego. Starzy, umiętni, nawet świetni kierowcy, szeregowi, czy też oficerowie, muszą dać przykład starszym, młodym kierowcom, że przepisy stoją ponad „kawalerską jazdą”.

Wszyscy stać muszą twardo i bezwzględnie na stanowisku, że podchmielony kierowca to przestępca, że tolerowanie go przy kierownicy równa się udziałowi w zbrodni.

Honor kierowcy-żołnierza, to podstawa jego wartości, która zapewni zmotoryzowanej armii polskiej spełnienie swego obowiązku.

Zwycięstwo, to cel który nam przyświeca.

Zdyscyplinowani, opanowani, na dobrze utrzymanym sprzęcie z wichrem wojennym staniami w zawody.

Stetycz



KRÓLEWSKIE PRZEDSTAWIENIE

CZOŁÓWKA W BAGDADZIE

Bagdadzki występ czołówki teatralnej Armii Polskiej na Wschodzie był rzetelnym triumfem rodzimej sztuki. Stał się prawdziwie królewską biesiadą artystyczną. Nie tylko dlatego, że pierwszy wieczór zaszczyli swą obecnością regent Iraku J.K.W. Emir Abdul Illah w otoczeniu premiera irackiego rządu, D-ey X Armii

bryt. gen. Wilsona i D-ey A. P. na Wsch. gen. W. Andersa, a salę teatralną King Faisal Hall'u zapelnili elita towarzystwa bagdadzkiego, generalicja, dyplomacja. Ale dlatego też, że ten wieczór humoru, pieśni i tańca stał rzeczywistym na godnym podziwu poziomie, którego wygalowana widownia mogła się nie spodziewać po artystach w żołnierskie mundury odzianych.

A rzecz można, że żadna stała scena rewiiwa, polska lub zagraniczna nie powstydziliby się w najnormalniejszych czasach pokojowych tego rodzaju zespołu i tego rodzaju widowiska. Bo stało istotnie na poziomie zupełnie niewspółmiernym z warunkami, w jakich musi pracować każdy artystyczny zespół wojskowy.

Wystarczyło kierownictwo artystyczne Lawińskiego, teksty i reżyserja Ref-rena, kompozycje i dyrekcja orkiestry Warsa oraz dobrany zespół, aby osiągnąć ten zasób kolorytu polskiego, sentymentu i werwy, humoru i muzikalności, którym zachwycała się cała wielojęzyczna widownia. Osiągnięto bowiem coś trudno uchwytnego, trudno osiągalnego, mianowicie specyficzne zestrojzenie zespołu, umiar i smak swoisty, wyczulowanie szczegółów, w czym przebiła zdrowa ambicja i zarazem skronność szczególnego talentu. Widoczne to było zarówno w pracy kierowników, jak i poszczególnego solisty-muzyka, aktora, śpiewaczki czy tancerki, nawet

powinna otrzymać zabezpieczenie swych granic oraz warunki spokojnego rozwoju gospodarczego i kulturalnego przez szerokie oparcie o morze i uzyskanie wobec Niemiec granicy dostatecznie wysuniętej na zachód, wyprostowanej i skróconej, uchwała tak potrzebna dla rozproszenia pojawiających się tu i ówdzie plotek czy niejasności co do stanowiska Polski — jest tylko stwierdzeniem niewątpliwie dla każdego Polaka oczywistości.

Na zewnątrz jest to mocne i wyraźne sprzeczowanie naszego stanowiska w tej zasadniczej sprawie. Akt, na który czekaliśmy od dawna, który kładzie kres niepewnościom i wątpliwościom i zamyka drogę dla wszelkich niezgodnych z powyższym stanowiskiem interpretacji.

Zbigniew Racieski

(Dalszy ciąg na str. 7-ej)

GRANICE

(Dokończenie ze str. 3-ej)

ulega wątpliwości, że uczynilibyśmy to samo, gdyby niebezpieczeństwo zagrażało jakimkolwiek innemu odcińkowi naszej granicy.

Bo Polska jest jedna. I niema w niej mniej lub więcej drogiej nam miast, wsi czy ziem. Żołnierz chwytający za broń i oddający swe życie w obronie Poznania czy Gdańska nie mógłby się nigdy pogodzić z utratą Lwowa lub Wilna.

I dlatego doniosła uchwała Rady Narodowej z 2-go grudnia w sprawie przyszłych granic Polski, która brzmi: „Rada Narodowa oświadcza, że w kwestii naszej granicy wschodniej trwa na gruncie traktatu ryskiego, w sprawie zaś granicy niemieckiej stwierdza, że zasadniczą wytyczną polityki polskiej jest dążenie do zabezpieczenia Europy przed ponowną agresją Niemiec. W tym celu Polska

TYGODNIOWY PRZEGLĄD WYDARZEŃ

Dla nas Polaków najdonioślejszym wydarzeniem ub. tygodnia była uchwała Rady Narodowej w sprawie przyszłych granic Polski. Poświęcając jej specjalny artykuł w dzisiejszym numerze.

Nie jest przypadkiem, że uchwała ta zbiega się z pobylem w Ameryce Szefa Rządu i Wodza Naczelnego gen. Sikorskiego. Amerykanie zawsze wykazywali duże zrozumienie dla stanowiska Polski.

Nie mamy narazie oficjalnego sprawozdania z pobytu gen. Sikorskiego. Nie ulega jednak wątpliwości, że poporoszono tam kwestje najbardziej żywotne.

Sam gen. Sikorski oświadczył w wywiadzie, że jednym z celów jego wizyty jest położenie nacisku na przyspieszenie i zwiększenie wysiłku wojennego Sprzymierzonych. Polska zobowiązała się do pełnej współpracy w zagadnieniach odbudowy wojennej.

Polskie Radio z Londynu podało w dn. 10 b. m., że tematem obrad była m. in. sprawa Armii Polskiej na Wschodzie.

Sprawozdawca Reutera w Waszyngtonie pisze, iż w rozmowach z prez. Rooseveltem gen. Sikorski podkreślił, iż stosunki w krajach okupowanych pogarszają się gwałtownie i przynaglał o odpowiednie decyzje.

„Kurier Polski” w Bagdadzie, mówiąc o stanowisku amerykańskiej

opinii publicznej w sprawie naszych granic, cytuje głos „New York Herald Tribune”, który pisze: „Polski premier nie wchodził w szczegóły tego oświadczenia (mowa o oświadczeniu w sprawie przyspieszenia wojny), ale dla jego zrealizowania Sowiecka Rosja będzie musiała pogodzić się z przyjęciem granic 1939 r., ustalonych po wojnie polsko-rosyjskiej 1920 r.”

W odpowiedzi na mowę Churchilla z 29 listopada przemówił Mussolini. W mowie jego, wybitnie defensywnej, brak było akcentów pewności siebie. Duce szeroko uzasadniał, że udział w wojnie był dla Włoch kwestią życia i śmierci, że neutralność byłaby równoznaczna z utratą wszelkiego znaczenia politycznego i wzywał Włochów do przetrwania, gdyż zwycięstwo „musi przypaść osi”.

Rząd włoski zagroził takim robotnikom sądami wojennymi

W Afryce po okresie zwycięstw alianckich obie strony gorączkowo gotują się do ostatecznego starcia. W Tunisie, w rejonie Bizerta—Tunis udało się Niemcom zatrzymać postępy sprzymierzonych. 2-dniowa bitwa czołgów w trójkącie Dzedaida—Tebour—Mateur nie przyniosła rozstrzygnięcia. Te chwilowe sukcesy zawiązują Niemcy lotnictwu. Posiadając liczne bazy na Sycylii i w połudn. Włoszech, oraz główne lotniska Tunisu, przerzucili tam znaczną część sił z frontu wschodniego, osiągając miejscowo przewagę nad sprzymierzonymi, którzy muszą na przód rozbudować sieć lotnisk i wprowadzić silniejsze formacje lotnicze. Wymaga to oczywiście pewnego czasu.

Na zachodzie wzrost nalołów brytyjskich na Niemcy. Bombardowano m. i. ważne ośrodki przemysłowe — Frankfurt i Karlsruhe oraz wielkie zakłady radiowe Philipsa w Eindhoven w Holandii, które zostały zupełnie zniszczone.

Na froncie wschodnim Niemcy pozostają w defensywie. Pod Stalingradem armia gen. von Hodta odcięta jest od głównych sił. Jeżeli rozpoznać odwrót, Niemcy utracą cały teren między Donem a Wołgą i będą musieli wycofać się z Kaukazu. Pozostając na miejscu von Hodt ryzykuje, że w razie ponownego uderzenia sowieckiego, armia jego, pozbawiona łączności z bazami zaopatrzenia, zostanie rozbita.

Na centralnym odcinku, pod Rżewem i Wielkimi Łukami ustawiczne ataki sowieckie wykruszają siły Niemców, dezorganizują i zmuszają ich do wprowadzenia w bój rezerw, uniemożliwiając wszelką akcję zaczepną.

Również trzeci partner osi pogodzić się musi z tym, że inicjatywa przeszła w ręce przeciwnika. Na wypasch Salomona i na Nowej Gwince sprzymierzeni wypierają Japonczyków. Według ministramarynarki U.S.A. pułk. Knox, Japonczycy stracili dotąd 250 tys. zabitych lub ciężko rannych, w tym 37 tys. marynarzy. Amerykanie ogółem 50 tys., z tego 30 tys. w walkach na Filipinach.

Imponujące są dane o produkcji amerykańskiej. Wyprodukowano w r. b. m. in. 49. tys. samolotów, 32. tys. czołgów, 17 tys. dział przeciwlot. i ponad 8 milionów ton żeluzgi handlowej. Na rok 1943 przewiduje się zwiększenie produkcji o 75 proc.

Rozdźwięk wśród Francuzów pogłębia się. Alger, Maroko i Afryka Zachodnia uznaje adm. Darlan, który przez układ z gen. Eisenhowerem uzyskał poniekąd uznanie przez Stany Zjedn. Przeciwstawiają się temu ostro gen. de Gaulle i jego obóz władający w Syrii, na Madagaskarze i w Afryce Równikowej. Ich zdaniem nie może reprezentować Francji Darlan, który do niedawna prowadził skrajnie ugodową politykę w stosunku do Niemców.

Ważne jest, aby spór ten został jaknajszybciej rozwiązany umożliwiając pełny udział imperium francuskiego w wojnie na stronie Aliantów.

Z. R.

Salus Reipublicae Suprema Lex

Bezmyślność w sprawach państwowych i zasklepienie się w codziennym, wygodnym życiu osobistym jest taką samą, dezercją, jak ucieczka żołnierza z frontu w zacisze domu.

DOBRO RZECZYSPOLITEJ NAJWYŻSZYM PRAWEM

Ponadto, zdaniem sprawozdawcy Reutera, gen. Sikorski przedstawił punkt widzenia Polski i poszczególnych narodów sprzymierzonych w sprawach związanych z zawieszeniem broni, a to: kwestia okupacji Niemiec, demobilizacją armii niemieckiej, ukaraniem zbrodniarzy wojennych, wydaleniem z w. kolonistów niemieckich i wywiezieniem uwolnionych narodów.

Sytuacja państw osi komplikuje się. W specjalnie trudnej sytuacji są Włochy, na które kieruje się tej chwili atak Sprzymierzonych.

Cóż jednak znaczą takie apele wobec nieubłaganej logiki faktów?

Ośma armia brytyjska grozi uderzeniem, które wyrzuci Włochów z ostatniego skrawka ich imperium kolonialnego. Lotnictwo brytyjskie znów dwukrotnie bombardowało Turyn wyrządzając olbrzymie szkody, zaś amerykańskie eskadry dokonały nalotu na Neapol niszcząc dworzec kolejowy i port. Ludność włoska w panice chroni się na wsi. Robotnicy zaczęli porzucać zagrożone warsztaty.

CZOŁÓWKA W BAGDADZIE

(Dokończenie ze str. 7)

niefachowego, a jak uroczego konferansiera.

Od kogo zacząć, komu pierwsze złożyć gratulacje? Chyba orkiestrze, która nie schodząc ze sceny pobiła rekord pracowitości grając bez zarzutu. Kierownik jej Wars zasłużył się — naszym skromnym zdaniem — przede wszystkim nadzwyczaj udatnym zmodernizowaniem motywów wziętych z polskiego folkloru, polskiej pieśni i tańca ludowego. W naszych krakowiakach, oberkach, mazurach, polonezach i pieśniach góralskich wydobyl nietylko ich uczu-

ciowe wartości, ale również podał je w formie nowej, ciekawej

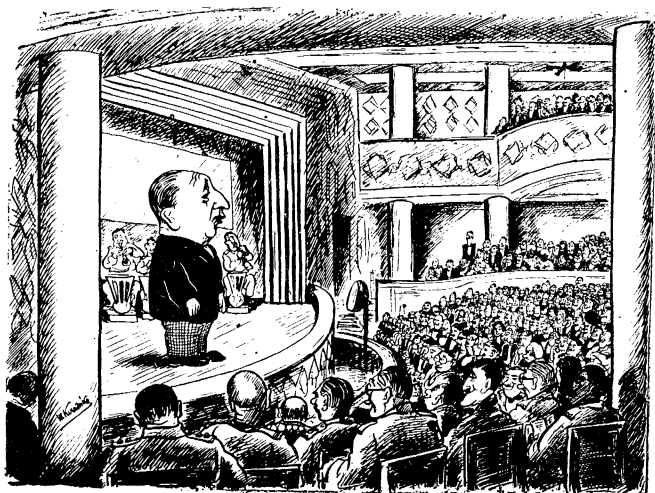
Doskonale harmonizowały z tymi tendencjami tańca, więc Kujawiaki w wyk. p. Pruszyńskiej, „Oberek” Pruszyńskiej, Jakóbówny i Szajowicza, „Mazur” Niewiadomskiej i Olczyńskiego, która to para dała też ładny obrazek tancezny p. t. „Spotkanie”. Stylizacja „Oberka”, tańca typowo parzystego, w układzie na trzy osoby znacznie utrudniała zadanie wykonawcom, jak i muzyka Wieniawskiego (w Mazurze) o niejednolitym charakterze. Pelen temperament „Conti-

mental” p. Różyńskiej utrzymany był w stylu jeszcze surowym, ale nie mniej odniosł wielki sukces u publiczności.

Obok tańca dobrze reprezentowany był również humor groteskowo-pantomimiczny. P. Oleńska w niewdzięcznej roli ofiary teatru świetnie wypadła w parodiach tanceznych z p. Ruszała. Z innych scenek, jak „uliczny śpiewacy” i „City Lights” (Światła Wielkiego Miasta) wyróżnił się Fabian w postaci „Chaplina”, obok sylwetek danych przez Refrena i Neya. Lawiński był znów doskonały w swych imitacjach wielkich kapelmistrzów i kabotyńa Hitlera.

W lirycznych numerach piękną interpretację sceniczną piosenek wykazała p. Bogdańska, obok bardzo miłych głosowo kreacji p. Terne. Szczyt wirtuozostwa osiągała para Neyów w naprawde utancznionych popisach akrobacji. Talent p. Sławy Nej zasługuje na najtroskliwszą opiekę. Efektowny był wreszcie półfinał „Vi” z chorągiewkami, słusznie przesunięty w drugim przedstawieniu na finał jak i „Kadryl” — żywcem wzięta scenka z Bałuckiego — galeria prześmiesznych sylwetek maomiasteczkowych, doskonale wytrzymanych w charakterze.

P. Borucki, jako konferansier w języku angielskim, swym bezpośrednim ujęciem zyskał sobie żywą sympatię całej publiczności, która po każdym numerze urzuciła artystom huczne owacje i zmuszała do bisów. O powodzeniu i celowości tego rodzaju widowisk świadczy, iż nietylko do stożni goście wbrew zwyczajowi protokularnemu nie opuścili teatru po półfinale, ale padały też głosy naszych sojuszników, że mile widzieliby codziennie takie przedstawienia. Polskie, i na b. dobrym poziomie. On



Lawiński do łez rozmieszał widownię

rys. W. Kowańko

ODPOWIEDZI REDAKCJI ze względu na brak miejsca umieścimy w następnym numerze.

